Rok IX. Dnia 25 Czerwca (7 Lipca) 1888 r. № 27.

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Każdy wie o tem, że wrażenie głosu powstaje w skutek wstrząśnienia błony bębenkowéj w uchu. Cząsteczki powietrza, wprawione w drganie silniejsze lub słabsze, uderzają o tę błonę i ruch w niéj budzą, a ten za pośrednictwem nerwów właściwych dostaje się do mózgu i wywołuje zjawisko słuchu. Ale można sztucznemi sposobami wytworzyć złudzenie tego zmysłu, wprawiając w nadzwyczajne drganie błonę bębenka, chociaż w pobliżu żadnego huku gwałtownego niema.

Rysunek nasz tak dokładnie przedstawia sztuczkę podobną, że opis tu jest prawie zbyteczny. Do wykonania potrzebne są dwie osoby. Jedna przyciska mocno uszy rękami, druga przeciąga tasiemkę po wierzchu tych rąk i dokoła głowy, jak wskazuje rysunek, lewą ręką trzyma dwa końce tasiemki, prawą ściska ją lekko w dwóch palcach, przesuwając je zwolna wzdłuż. Można także paznogciem przyciskać i poruszać tasiemkę, chwytać ją i wypuszczać szybkim ruchem, wszystko to wywołuje w słuchu osoby, trzymającéj ręce na uszach, wrażenie nadzwyczajnego łoskotu i huku, jakby grzmotów i piorunów.

Gdyby się to doświadczenie nie udało odrazu, nie należy się zrażać, lecz probować rozmaitemi sposobami tasiemkę pocierać i wstrząsać, aż póki się nie natrafi na sposób najwłaściwszy. I uszy także szczelnie rękami przykryć należy, ale nie naciskać znów na nie zbytecznie. Wprawa, powtarzane kilkakrotnie próby, najlepsze dadzą wskazówki. My tylko upewnić możemy, że doświadczenie to, zręcznie wykonane, bardzo jest zabawne, gdyż wywołuje zadziwiające złudzenie słuchu, zupełnie naśladuje gromy i pioruny podczas najgłębszéj ciszy.

Z ODGŁOSÓW WIEJSKICH.

Stoi sobie pacholę, jasnowłose, małe,
I spogląda na pole, na pszeniczną falę,
Na te kłoski wysmukłe i patrzy za niemi,
Jak się złocą i mienią, jak się gną ku ziemi.

* * *

Siedzi sobie i myśli, małą główkę chyli,
Co też tatuś i matka tam w chacie mówili,
Że zamało pszenicy, że zabraknie chleba,
I że w obce krainy wywędrować trzeba.

* * *

Przyszli Niemcy do chaty, dawali pieniądze,
Duże białe papierki i żółte mosiądze.
„Ej, sprzedajta, mówili, my dobrze zapłacim,
Wy pójdziecie na wander, a my się wzbogacim."

* * *

Gdzie tam ojcom wędrować, dziś, na stare lata,
Kiedy tutaj grunt własny, i ogród, i chata,
A tam pono daleko, pono puste pole,
Może chleba nie znajdą, tylko gorszą dolę?

* * *

Czyż nie szkoda tak rzucać téj rodzinnéj ziemi,
Co ją pracą zdobyli i łzami własnemi?...
I czy serce nie pęknie, gdy ten kąt nam miły
Zdepcą Niemcy, i rolę, i ojców mogiły?

* * *

Oj! że żal im, to widać, matuś smutni bardzo,
Płaczą ciągle po kątach, nawet jadłem gardzą,
Ojciec siedzi sam w chacie, choć wyjrzy na błonie,
Tylko głowę pochyli i załamie dłonie.

* * *

Żebym to ja był duży, tatusiu rodzony,
Tobym Niemców rozpędził, het! na cztery strony;
Żebym to ja co umiał, tobym znalazł radę
I rozjaśnił uciechą matki liczko blade.

* * *

Żeby to mnie małego nauczył kto przecie,
Jak to trzeba pracować na tym Bożym świecie,
Jak tę rolę uprawiać i co trzeba robić,
Żeby pracą, choć krwawą, własną chatę zdobyć.

* * *

Gdzież się udać po radę? chyba tam we dworze
Pożałują mnie państwo; cicho drzwi otworzę
I pokornie się skłonię téj jaśnie panience,
Co to chodzi w prześlicznéj, niebieskiéj sukience;

* * *

I zapytam się grzecznie, panicza poproszę,
Jak to trzeba pracować na te srebrne grosze,
Jak tę ziemię obrobić, i co czynić trzeba,
Żeby w chacie starczyło na kawałek chleba?

* * *

A jak panicz nauczą, to się tak ucieszę,
Że do ojców przez pola prędziutko pośpieszę,
I zawołam: nie miejta już przed Niemcem lęku,
Wszak będziemy z paniczem orać ręka w ręku.

Gabryela Jasieńska.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODÉJ DZIEWCZYNY,

spisała **Br. Kuczyńska.**

(Dalszy ciąg).

Miasteczko Kazimierz.

Śpichrze jeden za drugim w szeregu przy drodze stoją, niektóre prawie rozsypane, niektóre mocno uszkodzone, lecz są i takie, które jako tako podtrzymane służą do schronienia różnych rupieci.

Kazimierz w dziejach handlu zbożowego miał wielkie znaczenie, założony był w celu ześrodkowania tegoż handlu, a że punkt był doskonały, bo ponad spławną Wisłą i wpośród żyznéj okolicy, więc też wzrastał bardzo szybko. Kupcy z Torunia, Gdańska, Elbląga, a nawet i z Anglii zjeżdżali się tutaj po zakupy ślicznéj, złocistéj Sandomierki naszéj; był Kazimierz małym Gdańskiem nazwany. Wtedy to król, dbając o to, aby przywiezione zboże nie ulegało zepsuciu pod gołem niebem, kazał wystawić z wapienia kilkadziesiąt takich śpichrzy olbrzymich, z których siedmnaście jeszcze widzieć można.

Dogodna przystań dla statków urządzona była w pobliżu. Długi czas Kazimierz posiadał powagę i znaczenie, aż dopiero gdy w wieku XVI Gdańsk zyskał sobie wyłączny przywiléj na skład zbożowy, znaczenie to upadło, śpichrze powoli rozpadały się w gruzy, ludność się zmniejszyła, w 1656 roku zrabowany był przez Szwedów za panowania Karola Gustawa, a w 1705 morowa zaraza bardziéj go jeszcze wyludniła. Ślady dawniejszéj zamożności znać jednak do dziś w kilku kościołach i okazałych kamienicach.

Powoli po szkaradnym bruku dotarliśmy do rynku, na którym w mgnieniu oka kilku żydków faktorów nas otoczyło, ofiarując nam swoje usługi w przewodnictwie; ale ponieważ to zupełnie było zbyteczne, bo ojczulkowi każdy kamyk był znany, więc odprawiwszy ich grzecznie i poleciwszy woźnicy udanie się do jakiego zajazdu, sami zwróciliśmy się ku głównemu kościołowi, ku farze, któréj proboszczem był znajomy ojca, sędziwy ks. Kaszewski.

Nastąpiło zapoznanie, kilka serdecznych słów od miłego nad wyraz staruszka i udano się wraz z nim i organistą do kościoła, który też dawnych sięga czasów. Styl gotycki, okna wązkie ale wysokie, rzucały dość światła do wnętrza, dawne rzeźbione stale przy ołtarzu, figura p. Jezusa na krzyżu, podobno z płótna zrobiona, zwróciły naszę uwagę. Przypatrywałyśmy się też rzeźbionéj ambonie, rozmawiając przytem pocichu, gdy nagle zabrzmiał głos organów! Dźwięki te tak niespodziewanie spłynęły do nas z pod wysokiego stropu, a były tak dziwnie przejmujące, iż naturalnie rozmowa ustała a my pogrążyłyśmy się w zadumie przez cały czas trwania wspaniałego hymnu do Boga.

Powiedziano nam późniéj, iż organy w tym kościele należą do najznakomitszych w naszym kraju, stylem swym zastosowane są do budowy ogólnéj; głos mają prześliczny, pełny i dźwięczny. Serdecznie dziękowałyśmy księżulkowi za taką przyjemność i rozstawszy się z nim, podążyłyśmy ku ruinom, bo właśnie droga do nich tamtędy prowadzi. Wejście łatwiejsze niż na Bochotnicę, ale także dość spadziste, a na szczycie spotkała nas miła niespodzianka. Malarz L. dobry znajomy nasz, znajdował się tam właśnie wraz z dwoma swoimi siostrzeńcami, studentami uniwersytetu, jeden petersburskiego, a drugi moskiewskiego.

Po przywitaniu i przedstawieniu wzajemnem, przyglądaliśmy się obszernemu widokowi, p. L. znał to wszystko doskonale, gdyż niejednokrotnie miejsca te zwiedzał i na płótnie uwieczniał, lecz wybrał się w celu zapoznania swych siostrzeńców ze słynniejszemi i godniejszemi widzenia miejscowościami w tych stronach; byli też zaopatrzeni w notesiki, przytem jeden z nich miał puszkę blaszaną na rośliny, a drugi na owady.

Ruiny zamku Kazimierza są nieco większe od poprzedzających, ale nie widać ani śladu jakiegokolwiek starania w celu ich utrzymania. Czemuż nie jestem magnatką? myślałam sobie, zarazbym przeznaczyła jakąś sumę na odnowienie i zachowanie w całości tych dawnych zabytków przeszłości. Było tu za pięknie, za wesoło, żebym mogła długo samotnie rozmyślać, to też zbliżyłam się do Broni, wyglądającéj przez jeden z otworów i długą chwilę z niemym zachytem przypatrywałyśmy się temu samemu niby krajobrazowi, a jednak tak różnemu z każdéj strony.

Kazimierz górny imponuje kościołami i wyniosłemi kamienicami w rynku, a dolny tonie w zieloności drzew owocowych, szczególniéj śliwek, z doskonałości których słynie. Jak cudnie musi tu być na wiosnę, gdy cała ta masa drzew pokryta jest białem kwieciem, a jak przyjemnie w jesieni, gdy zbierają dojrzały owoc, ładują na galary i wyprawiają w rozmaite strony.

Po drodze do owéj odosobnionéj baszty, którą z Bochotnickiego zameczku było widać, a która na zupełnie innem wzgórzu się znajduje, uprzejmi młodzieńcy nazbierali kwiatków i ułożywszy z nich małe bukieciki, ofiarowali nam, jakby na pamiątkę tylko co zawartéj znajomości. W chwili gdy brałam do ręki tę wiązankę, przypomniało mi się co przyrzekłam méj nauczycielce botaniki, iż zawsze o zbieraniu roślin pamiętać będę, zasuszając je tak dla niéj, jako też i dla siebie. Zapomniałam o tem zupełnie, ze wstydem przyznać się muszę, ale byłam tak oszołomiona tą podróżą, wrażeniami, że nie pomyślałam o przyrzeczeniu, lecz gdy już przypomniałam sobie, chciałam wynagrodzić tę opieszałość gorliwością zdwojoną i zabrałam się natychmiast do wydobywania z korzeniami: ostrożki, *delphinium*, tojadu, *aconitum*, srebrnika, *potentilla*, goździków i innych roślin.

Ponieważ nie miałam ze sobą szpadelka, więc nie myśląc długo, zaczęłam wzruszać ziemię parasolikiem, do czego widocznie nie był przyzwyczajony biedaczek, bo pękł szkaradnie po samym środku. Na ten tragiczny wypadek wszyscy zwrócili uwagę, a w szczególności p. Stefan, ów młodzieniec, zajmujący się botaniką, który też w odpowiedni przyrząd był zaopatrzony i gdyby nie to, że właśnie ponad urwistym parowem wydobywał piękny rozchodnik, *sedum*, byłby mnie uchronił od zepsucia niezbyt potrzebnego mi zresztą parasolika. Kapelusz łyczkowy duży wybornie mi twarz osłaniał, a choć i słońce zajrzało, to nie gniewałam się wcale, bo opalenia się nie boję. Pan L. wziąwszy z méj ręki ten złamany okaz, a obejrzawszy dokładnie orzekł, iż to łatwo da się sporządzić i że sam się tem zajmie, gdy do miasta zajdziemy, a tymczasem podjął się smutne szczątki nieść daléj.

Idąc przez parowy, zarośnięte kwitnącym żółto berberysem i białym powojnikiem *clematis vitalba*, wonnym i bujnie rozrośniętym, prześcigaliśmy się w dążeniu na wzgórze; młodzieńcy byli nam pomocą, podając ręce przy trudniejszych przejściach, a my za to opowiadałyśmy im naprzemian, co w Puławach jest widzenia godne, jakie mamy projekta jeszcze, jakie wycieczki przedsiębrać zamyślamy. Żałowali bardzo, że już byli w Janowcu, bo chętnieby nam byli towarzyszyli. Rozleglejszy jeszcze krajobraz widać od baszty, bo ta wyżéj stoi i tuż prawie nad Wisłą; była tu podobno urządzona latarnia na wzór morskiéj, dla wskazania przystani zapóźnionym żeglarzom.

Spór naukowy wszczął się między nami, a młodzieńcami świeżo poznanymi z powodu podania o Maćku Borkowiczu, który na śmierć głodową przez króla Kazimierza skazany został za różne występki. My dowodziłyśmy, że to właśnie do téj baszty był ten nieszczęśliwy spuszczony, a oni że do takiejże baszty w Olsztynie. Powaga starszych panów spór na naszę korzyść rozstrzygnęła, jakkolwiek nie chcieli i oni odpowiedzialności, za te zamierzchłe dzieje przyjmować. Ślady wykutéj w skale studni są też jeszcze widoczne.

Przez czas naszego rozglądania się wokoło, pan L. odwołał jednego ze swych siostrzeńców, raźnego Witolda i rozporządzenia mu jakieś dawał, w następstwie czego on zbiegł z góry jak strzała i znikł nam z oczu. Za chwilę i przez nas wykonany został odwrót i nastąpiło wejście na rynek, w głąb którego prowadzili nas panowie przewodnicy. Póki żyć będę nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wywarł na mnie widok dwóch wspaniałych, starodawnych oryginalnych kamienic. Trudno uwierzyć nie widząc, aby coś podobnego mogło się w téj nędznéj, lichéj mieścinie znajdować. Obie te sławne kamienice stoją jedna przy drugiéj, są dwupiętrowe, jedna z nich, z wyobrażeniem wyrzeźbionéj postaci Św. Mikołaja jest własnością prywatną, a druga, ze wspaniałą wypukłorzeźbą Św. Krysztofa z Dzieciątkiem Jezus na ramieniu i na olbrzymiéj sośnie wspartego, należy do Magistratu i to od czasów bardzo dawnych, o czem świadczy dzwon w zagięciu dachu na samym środku umieszczony.

Oprócz tych głównych postaci, cały fronton jest dosłownie pokryty wyobrażeniami różnych fantastycznych postaci; tu widać aniołka, tam znów jakiś zły duch się wychyla lub nieznane zwierzę, jednem słowem panuje rozmaitość niesłychana; kwiaty i liście dodane są w miejscach próżnych, a fryzy dopełniają całości u góry. Zdumiona i zachwycona, przypatrywałam się długo, nie mogłam oczu oderwać od tych zabytków; niewiele jeszcze widziałam w życiu, ale zdaje mi się, że niewiele podobnych rzeczy napotkać można na świecie. W niezwykłym zapale wyciągam książeczkę, chcąc rysować, ale spostrzegam natychmiast swoję niedorzeczność, i chowam czemprędzéj te bazgroty, aby malarz p. L. nie spostrzegł i nie brał mi za złe, iż się porywam nie na swoje rzeczy.

Odrysować taką kamienicę, to musi być praca nielada, tyle szczegółów i takich trudnych; a jednak byli ludzie podobno, co jaknajwierniéj wszystko skopiowali i potem w pismach illustrowanych umieścili; nie spotkałam się z temi rysunkami nigdy, więc miałam najzupełniejszą niespodziankę, bo ojciec i Bronia nie wspomnieli mi o tem ani słówkiem, choć dobrze o tych skarbach wiedzieli. Pan L. poprowadził nas jeszcze na inną ulicę na prawo, gdzie znajduje się jeszcze jedna kamienica, która choć bez figury żadnego świętego, lecz ozdobiona suto rzeźbami i płaskorzeźbami, również cenny zabytek stanowi. Niegdyś należała do Kapituły.

Po obejrzeniu wszystkiego, pan L. zaprosił nas uprzejmie do swego mieszkania w gospodzie pod Lipą, twierdząc, iż jemu, jako bawiącemu tu już od trzech dni, obowiązki gospodarza wypełnić względem nas wypada.

(d. c. n.)

Pracownia pana Adama.

Pogadanka naukowa.

— Jedziemy, jedziemy, pakujemy rzeczy! —wołała Helenka, przywitawszy się ze starym przyjacielem — wakacye tuż, tuż, za pasem, ach! jak pomyślę, że niezadługo będę w Zakopanem, obaczę Tatry, czasem uwierzyć mi trudno, ażeby to była prawda.

— Poczekaj — rzekł Wacław — jak się wytrzęsiesz porządnie na wózku, jadąc z Nowego Targu, to z pewnością nie weźmiesz tego za sen. Ja już znam tę drogę, jeździłem przecież dwa lata temu ze stryjkiem do Zakopanego. Nie jestem delikatny, ale nieraz, jak góral Wojtek zaciął konie, to mi się zdawało, że głowa z karku zlatuje.

— Ej, głowa nie zleci, a ja tam nie pomyślę nawet o żadnych niewygodach, gdy raz na własne oczy obaczę te kochane Tatry.

— Byle tylko Helenka pośród tych zachwytów o roślinach nie zapomniała — odezwał się p. Adam — przecież mam obiecany zielnik.

— Już niech pan będzie spokojny, co przyrzekłam, to spełnię święcie. Zapisałam sobie co do słowa wszystkie szczegóły, które p. Adam ostatnim razem opowiadał, nic

a nic nie zapomnę. Ale czy to w Tatrach niema już więcéj osobliwych roślin? bo mój spis nie jest znów zbyt długi.

— Ho ho! żebym ja chciał wszystkie piękne górskie rośliny wyliczyć, spis byłby zanadto długi i nie potrafiłabyś tego spamiętać. Wspomniałem tylko niektóre, co mi przyszły na myśl podczas naszéj rozmowy.

— O, panie Adamie kochany! — wołała Helenka, składając rączki błagalnie — ja mam dobrą pmięć, nie chwalę się, bo mi to nauczycielka nieraz powtarza. Niechże pan opowie jeszcze o jakich pięknych kwiatach tatrzańskich, żebym je poznać mogła, gdy napotkam.

— Niedługo mnie zachęcać trzeba do podobnéj gawędy — mówił z uśmiechem staruszek — rośliny, to moja słaba strona, a kwiaty górskie najsłabsza. Jeszcze też nie zdążyłem przy ostatniéj rozmowie wspomnieć o kilku bardzo ciekawych i osobliwych okazach, miałbym na sumieniu, gdybyście je pominęli z powodu niewiadomości. Jest naprzykład gatunek ostu prawdziwie wspaniały, bo i rozmiary ma olbrzymie i kształt niezwykły, dziwaczny, a taki uroczy w téj swojéj fantastyczności. Gdym po raz pierwszy ujrzał na Gubałówce, wzgórze pod Zakopanem, kwitnącą kąsinę bezłodygową, *Carlina acaulis*, taka jest nazwa téj rośliny, osłupiałem z podziwu. Wygląda to bowiem na jakąś potworną zwierzęcą istotę, pełzającą po murawie z łapami rozłożonemi na wszystkie strony. Równie jak i inne osty, należy do rodziny złożonych, kwiatogłówka płaska, leżąca na ziemi, bo niema prawie łodygi, dochodzi wielkości talerza, kwiatki srebrzysto białe otoczone są dokoła obszernym kielichem, rozstrzępionym w liczne ździebełka, także białawe, lub słomianéj barwy. Liście cierniste, obszerne, wycinane głęboko, rozkładają się na ziemi. Kąsina kwitnie dopiero przy końcu Sierpnia i we Wrześniu.

— O mój Boże! — zawołała Helenka — żebyż tylko zakwitła, nim my z Zakopanego wyjedziemy. Bo przecież nie przeszłabym obok takiego kwiatuszka, nie zwróciwszy nań uwagi.

— Wcześniéj, przez całe lato prawie, kwitną prześliczne goryczki, *gentiana*, prawdziwe górskie rośliny. U nas tu pod Warszawą jedna tylko ich krewniaczka przebywa, zwana powszechnie centuryą, a także tysiącznikiem, o ładnych kwiatkach różowych, w baldaszkogrona zebranych. Cała ta rodzina ma cechę wspólną, korzeń gorzki, ztąd nazwa goryczek. Największy gatunek dochodzi kilku stóp wysokości, kwiaty ma żółte, niezbyt piękne, lecz korzeń ceniony jest z leczniczych własności. O tę żółtą nie idzie mi tyle, chociaż rośnie dość obficie w Tatrach, najpiękniejsze dla mnie są goryczki błękitne, malutkie roślinki; jeden gatunek, *gentiana acaulis*, prawie bez łodygi, przy saméj ziemi kwitnie. Kwiatek ten ma wdzięk nieporównany, korona rurkowata, rozłożona w kształcie gwiazdeczki, wygląda zupełnie, jakby jasne oczko błękitne, łagodnie z trawki wyzierające. Dużo jest pięknych kwiatów niebieskich, szafirowych, o różnych odcieniach błękitu; wszak i nasze bławatki zachwycają oko żywą swą barwą, zwłaszcza wśród zboża i obok maków purpurowych, odbijają ślicznie. Lecz zdaje mi się, że żaden kwiat w świecie nie wyrównywa czystością, jasnością błękitu, téj cudnéj górskiéj goryczce. Na szczęście zasusza się bardzo dobrze, przy starannéj przemianie bibuły nie traci nawet barwy, chociaż zapewne zasuszona dorównać nie może żywéj.

— Dołożę wszelkich starań, aby tę śliczną goryczkę jaknajlepiéj zasuszyć — rzekła Helenka — i otóż znów parę roślin ciekawych poznałam bliżéj z łaski p. Adama.

— Zbierając na wyniosłych stokach wierchów goryczkę bezłodygową — ciągnął daléj staruszek — natrafisz zapewne niedaleko na gwoździczek górski bezłodygowy, *dianthus alpinus*, różowy, o kwiatkach dużych, pojedynczych na malutkim krzaczku, tak samo, jak goryczka. Dużo jest podobieństwa pomiędzy obiema temi roślinkami, a barwy ich mile przy sobie odbijają. Okazalsze goździki, duże, postrzępione i pachnące pięknie, znajdziecie w obfitości w dolinach i na niższych wzgórzach, tak zwanych reglach. Mnóstwo ich zrywałem na Gubałówce, a obok nich rosną zwykle goryczki łąkowe, o kwiatach lila, różowawych i białych, goryczka równinowa, któréj kwiat duży, szafirowy, wygląda jakby sfałdowany!

— I pomyśleć, że ja nic o tych goryczkach nie wiedziałam, i byłabym pojechała do Zakopanego, nie wiedząc o nich!...

— No i cóżby się stało? — przerwał Wacław — paradna jest moja panna siostra; do wszystkiego zaraz takie ogromne przywiązuje znaczenie, wszystko u niéj zawsze jest czemś tak ważnem, tak ważnem?

— A ty znów lekceważysz wszystko — odparła siostra obrażona — nie wiem, co lepsze.

— Wszystko najlepsze jest w miarę — pośpieszył spór przerwać p. Adam — ja zaś nie mogę dziwić się Helence, że do znajomości kwiatów wielkie przywiązuje znaczenie, bo potępiłbym swoje własne upodobania. Ażeby już nie opuścić najznakomitszych przynajmniéj górskich kwiatów, wspomnę jeszcze astrancyą, rosnącą w dolinach, w pobliżu Zakopanego. Roślina ta bardzo ozdobnie wygląda, na wysokiéj, wysmukłéj łodydze wznosi się baldaszek, z bladoróżowych kwiateczków złożony, należy też do licznéj rodziny baldaszkowych, chociaż z pozoru znacznie się od nich różni, bo ma kwiatki gęsto skupione. Liście duże, wycinane, są opatrzone drobniutkiemi kolcami. Na mokrych łąkach napotkacie czerwień łąkowy, *calla palustris* Liście sercowate téj rośliny i kwiateczki, otulone białawą pochwą, jakby tutką, przypominają pokrewny zamorski gatunek, hodowany w doniczkach, lilian etyopski, *calla aethiopica*. Po okwitnieniu w pochwie pozostają jagódki czerwone.

— Tylko niechże p. Adam się nie zatrzymuje i wylicza daléj — prosiła Helenka — ja spamiętam, doprawdy spamiętam i zresztą zapiszę wszystko.

— Na bagnistych łąkach pod Zakopanem znajdowałem zajmującą niezmiernie roślinkę, choć niepozorną. Kwiateczek fiołkowy nieforemny, z długą ostrogą, pochyla się zabawnie na łodyżce wysokiej, cieniutkiéj jak nitka. U dołu przytula się do ziemi różyczka liści korzeniowych, grubych, tłustych, zkąd nazwa roślinki: tłustosz, *pinguicula* po łacinie. Utrzymują dziś botanicy, że te listeczki chwytają i połykają drobne muszki i tłustosz zaliczony jest do roślin owadożernych, o których słyszeliście zapewne.

— O tak, czytałem o tem w „Wieczorach Rodzinnych" — rzekł Wacław — w roczniku dawniéjszym, Helenka wtenczas jeszcze tylko dodatki dla dzieci czytywała.

— Czytałam jednakże ten artykuł o roślinach owadożernych w oprawnym roczniku.

— A teraz naprawdę już dosyć — rzekł p. Adam — jeżeli Helenka odszuka i zasuszy wszystkie te kwiaty, które tu wyliczyłem będzie miała dosyć. Ba! zapomniałem tylko, opowiadając o osobliwościach, wspomnieć choć słówkiem kwiat najpospolitszy w Tatrach, chociaż i tu u nas napotkać go można. Jak tylko przyjedziecie, uderzy oczy wasze moc niepoliczona jaskrawo różowych mieczyków, pokrywających łąki, pola owsem zasiane, pastwiska. Wszędzie ich pełno, wszędzie rumienią się zdaleka, górale nazywają je „cebulą", bo korzeń mieczyka jest cebulkowy. A bratki! Ach, nigdzie u nas nie widać tak pięknych, dużych, barwnych bratków dzikich; wyglądają niekiedy, jak ogrodowe. Ale o tych kwiatach tatrzańskich możnaby gawędzić i gawędzić bez końca, to przedmiot niewyczerpany, a na dziś doprawdy już dosyć.

M. J. Z.

Jaskinia Mamutowa.

Olbrzymie to podziemie, zaliczone do najosobliwszych cudów przyrody, było już dawniéj opisane szczegółowo w „Wieczorach". Tu więc tylko w krótkości wspomnimy, że grota Mamutowa, któréj rozmiary przewyższają wszystkie znane podziemia, znajduje się w Ameryce północnéj, w sta-

Jaskinia Mamutowa.

nie Kentucky, o kilka mil od miasta Louisville. Zwiedzenie tak rozległego podziemia jest prawdziwą podróżą; trzeba przebywać mnóstwo przejść krętych, nieraz tak wązkich, że ledwo się przez nie przecisnąć można.

Za to postępując daléj, napotyka się coraz wspanialsze widoki, ogromne sale i galerye, ściany kamienne tak wysokie, że trudno dojrzeć sklepienia, głazy dziwacznych kształtów, przepyszne stalaktyty, rzeki i jeziora podziemne, po których żeglują łodzie przy świetle pochodni. Jaskinia Mamutowa ukrywa się w głębi niezmierzonego lasu, jednego z tych lasów amerykańskich, które właściwiéj nazywane są puszczą leśną. Rycina nasza przedstawia wejście do podziemia, nadzwyczaj malowniczo wyglądające, jakby czeluść czarna, niezgłębiona, rozwarta wśród zielonych gąszczów. Małe źródełko sączy się nieustannie ponad tym otworem, wygląda tak zupełnie, jakgdyby usiłowało zamknąć drogę przed zuchwalcami, którzy się chcą wedrzeć do podziemia i szmerem swym tajemniczym ich przestrzegało.

SŁAWNI W PIŚMIENNICTWIE.

p. Z. Morawską.

Adam Naruszewicz.

Nie w smak by z pewnością uczącym się poszło, gdyby im kto zadał jakiś temat i żądał opracowania go wierszem? Z pewnością postępując za wychodzącymi z klasy, usłyszelibyśmy taką rozmowę:

— A to dziwny ten X. czyż można tak na zawołanie sypać wierszami.

— Nibyż to każdy ma zdolność do poezyi.

I słusznie, nie każdy ma zdolność poetycką, lecz była chwila, kiedy pisanie wierszy nazywano sztuką rymotwórczą, a chcąc wykształcić młodzież w téj sztuce, kazano im składać wiersze czyli rymować na zasadach raz wyuczonych. Smutne to były wiersze, bez natchnienia, bez polotu poetyckiego i przejęcia się przedmiotem, dobierano rytmy i rymy,

a takich utworów pozostawił nam bardzo dużo okres panagieryczno-makaroniczny czyli pseudoklasyczny wieku 17. Profesor zaś poetycki w akademii wileńskiéj, a późniéj w *collegium nobilium* na Starem Mieście w Warszawie, ksiądz Naruszewicz był tego zdania, że chcąc zrozumieć poetykę trzeba samemu składać wiersze. Zadawał więc rymowanie uczniom i sam dla wprawy rymował, tylko, że z tych jego wpraw urastały znakomite obrazy, kreślące wady owoczesnego społeczeństwa. I tak urosła satyra, która jak mówi ksiądz biskup warmiński:

Satyra w szczególności nikomu nie łaje
Wielbi króla, czci naród, gani obyczaje.

A Naruszewicz w swoich satyrach rzeczywiście gani te obyczaje, nie owijając w bawełnę, a jako kaznodzieja i pedagog wypowiada prawdę, bolejąc zarazem nad upadkiem społeczeństwa.

Lecz zobaczymy jak się Naruszewicz przygotowywał do tego, aby zająć to stanowisko w literaturze jakie mu się słusznie należy.

Adam Naruszewicz urodzony w Pińsku roku 1733, pochodził z rodziny bogatéj, Adamowi jednak za całe bogactwo dostała się troska o chleb powszedni. Uczył się więc z tą myślą, żeby jak najprędzéj zdobyć jakąś wiedzę, a przy jéj pomocy stanowisko w społeczeństwie. Bardzo był młodziutkim, gdy wstąpił do zakonu jezuitów, którzy widząc w nim wielkie zdolności wysłali na naukę do Lugdunu. Gdy wrócił do kraju zastał wtedy Czartoryskich krzątających się około wychowania publicznego, szukali oni na wszystkie strony zdolnych ludzi, którymby mogli powierzyć wielkie dzieło nauczania młodzieży. Zwrócili więc wkrótce oczy na młodego zakonnika, a chcąc mu dać jak najszerszy pogląd na świat i ludzi, a tym sposobem zjednać krajowi dzielnego pracownika, wysłali go po raz wtóry zagranicę. Naruszewicz w Niemczech, Włoszech i Francyi kształcił się znowu, badał rozmaite sposoby nauczania, zagłębiał się w dzieje ludów, starożytnych, z ich życia nabierał doświadczenia, umiejętności spoglądania na społeczeństwo, dopatrywania wad jego, a wskazywania wielkich i szlachetnych celów. Nic więc dziwnego, że z taką wiedzą i z wrodzonym sobie dowcipem zwrócił na siebie uwagę króla literata mecenasa sztuk pięknych i nauk, jakim był Stanisław August. Mimo to jednak, że król prawie obejść się bez Naruszewicza nie mógł, usuwał on się jednak od dworu i w skromnéj celi *collegium* tłomaczył historyka rzymskiego Tacyta, spisując prócz tego bardzo dużo notatek do dziejów naszych. Nie zaniedbywał jednak i poezyi. Sypał jak z rękawa satyry i pełne dowcipu porównania, które częstokroć były doskonałą przyprawą towarzyskiéj zabawy podczas obiadów czwartkowych u króla.

Do tych prac swoich tak się przywiązał, że kiedy pożar objął gmach kollegium, w którym mieszkał, zapakował on w beczkę wszystkie swoje rękopisy i wydostawszy ją z wielkim trudem z zajętego ogniem gmachu, toczył ją przed sobą zapominając, że tam wśród pożaru ginie całe jego szczupłe mienie. Po zniesieniu zakonu jezuitów roku 1773 ujrzał się rozbitkiem i gdyby nie opieka króla ciężkie byłoby życie Naruszewicza. Lecz Stanisław August wyrobił mu probostwo na Litwie, gdzie w dalszym ciągu Naruszewicz kreślił obrazy pozostawionego społeczeństwa w stolicy. Społeczeństwo to zdala wydawało mu się jeszcze gorsze aniżeli wtedy, gdy na nie patrzył. Nie miał bowiem przed oczami téj powierzchownéj ogłady, którą nieraz odziewano złe kryjące się pod ułudną powłoką dworszczyzny. Nie zważając więc na wszelkie względy, wylewa całą żółć, całą swą boleść, jaką przejmują go owoczesne obyczaje, a w swoich „Redutach" przemawia:

„Powiedziałbyś, że to pan — istnać to hołota
Kryje się wśród jedwabiu i jasnego złota.
Zostawił ci mu ojciec smażywiecheć szczery,
Jedząc chleb za pieczyste, rzodkiew za selery,
Kilka włości obszernych, jak testament pisze:
Teraz przy nim już tylko został klucz *Hołysze*,
Wioseczka *Pożyczanka* z karczmą *Nieoddajem*,
Reszta poszła chwalebnym świstaków zwyczajem...
Teraz u kominiarza stu talarów szuka,
U stróża wziął dwanaście, dziesięć u hajduka;
Dziesięć z płaczem wycisnął, co pod świętym Janem
Przedaje baba krupy, siedząc pod straganem."

W innéj znów satyrze pod tytułem: „Pochlebstwo" przedstawia ugrzecznionych, a zbytnio każdemu schlebiających ludzi:

„Jeden mówił: prawdziwie, tylem od chłopięcia
Zwiedzał dworów, a nicem w życiu, *Exellentia*,
Nie widział podobnego, jak pańskie mieszkanie."

Daléj zaś wyśmiewa popisywanie się antenatami, które często dochodziło w owym czasie do najbezrozumniejszych bredni.

„Któż nad pana naszego z większem się postawi
Imieniem? Nasz pan w domu, bez długich wywodów,
Mendel ma kasztelanów, kopę wojewodów;
Ma pół tuzina lasek, kluczów i pieczęci:
Od tysiąca lat trzeba zasięgnąć pamięci
Przodka pana, który tu jeszcze z królem Krakiem
Przyjechawszy, z Mogoła raczył być Polakiem."

Zarzucają wprawdzie Naruszewiczowi, że szydząc z pochlebców sam pisał ody pochwalne na cześć Czartoryskich i Stanisława Augusta; lecz któż jest bez ale, zresztą może rozmiłowany w swoich dobroczyńcach widział w nich same zalety nie dopatrując wad jakie posiadali. Darujmy mu tę słabostkę choćby za *Ody na obrazy starożytnych ludzi:*

. . . . . „Byli lepsi ludzie.
Wytłoczeni na stęplu starożytnéj cnoty,
Piękniejszą mieli duszę pod barwą prostoty...
Płochy zawsze w obrotach świat koleją chodził,
Po złotym, z podlejszego kruszczu wiek się rodził;
Srebro miedzi plac dało: kto wie, nasze syny
Po żelaznych rodzicach? czy nie będą z gliny?"

A mówił to wszystko z przekonania, bo on ukochał tę przeszłość w któréj ludzie byli ulani jakby ze spiżu, poświęcający swoje osobiste „ja" dla dobra publicznego, jakże mu więc wydawać się musieli ci którzy dobro ogółu, szczęście całego kraju poświęcali dla własnego wyniesienia się, a często nawet dla jakiejś marnéj przyjemności. Zwrócił się więc do téj lepszéj przeszłości; zakopał wśród starych pergaminów. Jako proboszcz w Niemenczynie, a potem jako koadyutor biskupstwa smoleńskiego przeglądał stare akta, nieraz z lamusu lub z pod strychu jakiego dworu wyciągał na poły pogryzione przez myszy foliały, a z nich dowiadywał się historyi wielu rodów polskich, litewskich i rusińskich, które były znakomitym materyałem do spisywania historyi narodu polskiego, który z rozkazu króla, ulubieniec jego miał dokonać. Stanisław August, zatęskniwszy za Naruszewiczem, sprowadził go do Warszawy, osadził w zamku, urządził całą kancelaryę, w któréj pod okiem historyka porządkowano lub przepisywano nadsyłane ze wszystkich stron kraju a nawet i z zagranicznych archiwów wyciągi o naszéj traktujące przeszłości. Tym sposobem powstało siedem tomów historyi od najdawniéjszych czasów do wstąpienia Jagiellonów. Naruszewicz odrzucił wiele podań i legend, które, mieszając się do prawdy zacieniały ją, czyniąc zamgloną i niejasną. Okiem badacza i krytyka spojrzał w przeszłość, ocenił działanie tak monarchów jak i ludzi stojących przy tronie, zwrócił uwagę na wpływ wielu rodzin we względzie rozwoju państw, słowem, stworzył odrębny sposób pisania historyi czyli *szkołę* opartą na jasnym i krytycznym poglądzie na przeszłość naszą. Nie dokończył jednak swéj pracy, inne prace powołały go ku sobie; jako biskup smoleński a potem łucki zasiadał na sejmie czteroletnim od roku 1788, to jest od chwili jego otwarcia. Zdawało mu się, że obrady te i prace przyniosą społeczeństwu wielki pożytek, że to społeczeństwo ujrzy odrodzone i szczęśliwe! zawiedziony w swoich nadziejach gasł coraz więcéj, aż wreszcie zmarł 1796. Ten co tak

poważnie patrzył w przyszłość, co śmiał się z goryczą, patrząc na teraźniejszość, zamilkł na zawsze widząc, iż ostatnia jego praca nie przyniosła żadnéj na przyszłość korzyści.

GWIAZDA SUDANU.

Przygody podróżników w Afryce środkowéj.

(Dalszy ciąg).

Ciekawą niezmiernie kwestyą historyczną jest pochodzenie pierwotne tych ludów afrykańskich rasy białéj, w starożytności noszących miana Libijczyków, Etyopów, Getulów, a dziś Berberów, Tuaregów i t. p. P. Lemercier dostarczył mi bardzo ważnych i dokładnych źródeł, z których zaczerpnąłem materyały do dziełka etnograficznego, które napisać zamierzam.

Tu wspomnę tylko w krótkości, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, Afrykanie biali należą do rasy Chamitów, pochodzący z okolic Mezopotamii. Wędrówki ich na zachód poprzedziły o kilka wieków te, które następnie odbywali Semici i Aryowie. W czasach niezmiernie dawnych przedhistorycznych, Chamici rozsiedli się w południowo-zachodniéj Europie i na północnych wybrzeżach Afryki. Tu Chamici przebywali spokojnie, aż póki Arabowie nie poczęli ich wypierać z siedzib etyopskich. Wówczas poruszyli się znów z miejsca, dążąc ku południowi, a przymusowe te wędrówki trwały przez czterysta lat, od VII do XI wieku ery naszéj. Obecnie liczne plemiona, znane pod nazwą Berberów i Tuaregów, rozproszone są wzdłuż wybrzeży Atlantyku, od Tripolisu aż do San Paolo di Laonda i daléj w głębi lądu znaczne zajmują obszary.

Dla dokładności dodać należy, że pierwotna rasa Chamitów dziś już mocno jest zmieszana z innemi, dużo krwi obcéj dołączyło się do dawniejszéj. Ziemie zamieszkałe przez te plemiona były kolejno schronieniem różnych ludów zwyciężonych Egipcyan, Fenicyan, i Kartagińczyków, Rzymian, Wandalów i innych. Często też napotyka się tam tak zwanych Franków, jest to nazwa ogólna białych Europejczyków.

Tuaregowie, a pod tem mianem, w braku stosowniejszego, rozumieją wszystkie białe plemiona afrykańskie, Tuaregowie dzielą się na liczne państewka, któremi rządzą samowładnie zwierzchnicy, mający siłę wojskową w swych rękach. Takie państewka, *tiussi*, często rozpadają się jeszcze na drobniejsze prowincye, ulegające osobnym władcom.

Plemię Tademeketów miało dawniéj główną siedzibę w pobliżu Tademeki, znacznego miasta, którego nazwa znaczy: „podobne do Mekki”. Podróżnik Barth odnalazł szczątki tego starożytnego grodu w okolicach Es-Suk. Ukryta pomiędzy dwiema wysokiemi górami w głębi pięknéj i żyznéj kotliny, dawna ta stolica Tuaregów leżała o pięć dni drogi od załomu Nigru. Pięć dni drogi oddzielało ją również od Timisao, obronnéj twierdzy na szczycie skalistego wzgórka, gdzie według podania widać ślad konia Mojżesza. Na owéj skale znajduje się napis turecki z czasów podbojów muzułmańskich.

Podczas świetności swojéj, Tademeka zwiedzona była i opisywana przez uczonych arabskich podróżników, jak El Bekri i Ibn Batuta. Niema żadnych pewniejszych wiadomości, kiedy i z jakiego powodu zniszczona została ostatecznie. To pewna, że musiały nastąpić gwałtowne jakieś przewroty, gdyż mieszkańcy opuścili miasto i udali się w kierunku południowo-zachodnim pod wodzą przodka dzisiejszego wodza Auaba. Dziś wojownicze to plemię osiedliło się w pobliżu miasta Timbuktu, jazda stanowi straż przyboczną szejka Achmeta el Bakai.

Taredży eg Auab, wódz Tademeketów, sam osobiście usadowił się wraz z oddziałem swoim pod naszemi oknami, namiot jego ze skóry baraniéj odznaczał się okazałym pękiem piór strusich. Przed namiotem zatknięty był na wysokiéj tyce sztandar z bogatéj tkaniny jedwabnéj, przetykanéj złotem. Przy sztandarze stał nieruchomo na warcie drab olbrzymi, trzymający w ręce włócznią potężną, żelaznem ostrzem opatrzoną i zdobną w żółtą kitę. W drugiéj ręce żołnierz ten miał tarczę z drzewa akacyowego, obciągniętą skórą słoniową.

Za namiotem pasły się trzy przepyszne rumaki, wierzchowce wodza, z najszlachetniejszéj rasy, utrzymane z największem staraniem. Fredży eg Auab często je oglądał, pieścił, a wtenczas mogłem i jemu przypatrzeć się dokładniéj; wódz ten afrykański potomek znakomitego rodu, i dziś piastujący godność panującego prawie pośród swego plemienia, zaciekawiał mię niezmiernie.

Feredży eg Auab był to młodzieniec lat dwudziestu pięciu zaledwie, równie okazałéj postawy, jak i podwładni jego; w całéj postaci, w wyrazie twarzy, w ruchach miał on coś dziwnie szlachetnego, niepospolitego, jakby piętno arystokratycznego rodu. Na nieszczęście, zwyczajem Tuaregów, twarz ukrywał prawie ciągle pod zasłoną, powtarzając, iż „człowiek dobrze urodzony nie powinien pokazywać oblicza swojego”.

Udało mi się jednak podpatrzeć, czatując pilnie na chwilę sposobną, że młody wódz Tuaregów miał cerę białą, oczy szafirowe, pełne wyrazu, zęby przepyszne, rysy piękne i regularne. Nosił duże wąsy, a na głowie, wygolonéj dokoła, zostawiał tylko pośrodku kosmyk bujny i długi, spleciony po chińsku. W uszach jego błyszczały złote kolczyki. Strój składał się z sukni czerwonéj, bardzo obszernéj, zwanéj w Sudanie „dżelabą”, ze spodni, na sposób europejski skrojonych z tejże saméj tkaniny, wszystko to przykrywał burnus, także szkarłatnéj barwy, podszyty miękką koźlą skóreczką. Na głowie miał myckę, „czeczyą” zwaną, owiniętą nakształt turbanu lekką tkaniną, któréj jeden koniec twarz osłaniał szczelnie. Obuwia nie używał, utrzymując, że mąż szlachetnego rodu piechotą nie chodzi. Stroju wodza dopełniał naszyjnik z pieniążków złotych, oznakę godności stanowił pałasz o rękojeści złocistéj, przypięty u boku, nadzwyczajnie długi, podobny do tych, które nosili rycerze średniowieczni.

Pomimo młodego wieku, Auab pozyskał już wielką sławę pomiędzy ludami Sudanu, zwłaszcza w Timbuktu i okolicach tego miasta szanowany był wielce. Słynął z męztwa, zarówno jak z roztropności. Nad wiek poważny, nie śmiał się nigdy, w postanowieniach bywał niezłomny, nieraz już i w wojnie się odznaczył, opowiadano o nim, że zwyciężał zawsze nieprzyjaciela, chociażby daleko mniejszą siłą od niego rozporządzał. Umiał też z mądrością niepospolitą wybierać miejsce stosowne na stoczenie boju, a przebiegłością i umiejętnemi podstępami ściągnąć tam przeciwników i łatwo potem pokonać.

Feredżi eg Auab prawie za cudotwórcę uchodził wśród swoich wielbicieli. Opowiadano o nim np., że słuchem jedynie, przytykając ucho do ziemi, odkrywał źródła; że węchem znów, podnosząc piasek do nozdrzy, w noc najciemniejszą odnaleźć umiał ślady nieprzyjaciół, lub natrafić na drogę, jeżeli się zabłąkał; że na samym krańcu widnokręgu bystrym swym wzrokiem z łatwością odróżniał kozę od barana; i wiele podobnych rzeczy, powtarzano sobie o tym młodym wodzu.

On jeden z całego oddziału Tademeketów nie pali tytuniu, w jedzeniu i napoju jest bardzo wstrzemięźliwy. Jeździec z niego znakomity; czy to na dzielnym koniu, czy na wielbłądzie rasowym „mehara”, cudów zręczności dokazuje. Zdarzało mu się w razie pilnéj potrzeby przebywać dwieście pięćdziesiąt kilkometrów w przeciągu jednéj nocy. Sam też ujeżdża swoje wierzchowce.

Miał on raz przepyszną klacz, o bujnéj, jedwabistéj grzywie, o nóżkach stalowych, z tych co to według poetycznego wschodniego wyrażenia, „wiatr piją w biegu”; pochodziła w prostéj linii od słynnéj klaczy proroka i tak samo, jak ta jéj pra-pra-babka, oznaczona była gwiazdeczką białą

na czole. Na nieszczęście piękna ta klacz duże miała wady, między innemi nie chciała rzeki przepływać.

Należało jednak zmusić ją do tego. Cóż czyni Auab? Bierze naczynie wodą napełnione i trzy placki, pakuje to do torby, wiszącéj u jego pasa. Wsiada na upartą klaczkę, jedzie na brzeg strumienia, staje na wybrzeżu, zwracając ją łbem do wody i czeka. Klacz, zwyczajem swoim, nie daje się w wodę wprowadzić, więc nasz wódz jéj nie zmusza, tylko najspokojniéj trzyma ją w tem samem położeniu, łbem zwróconą do rzeki, sam zaś nie zsiada z siodła i czeka cierpliwie. Gdy mu głód zacznie dokuczać, przegryza kawałek placka, popija wodą i nie rusza się z miejsca.

Nadszedł wieczór, a gdy ciemności okryły ziemię, ozwał się zwykły chór dzikich zwierząt, mieszkańców pustyni; szakale, hyeny, pantery, napełniały powietrze wrzaskiem przeraźliwym. Klacz poczęła się trząść cała, trwoga ją przejęła, rwała uzdzienicę, chciała zawrócić i uciekać, lecz jeździec trzymał ją mocno i cofnąć się nie pozwolił, ani łba odwrócić od wody.

Upływała godzina za godziną, klacz z przestrachu cała się pianą białą pokrywa, Auab nie popuścił jednak cugli ani na jedno mgnienie oka, czekał cierpliwie i w końcu przed samym wschodem słońca wola wytrwała człowieka pokonała upór zwierzęcia, klacz nagle się porwała, wskoczyła do wody, z szybkością strzały na drugi brzeg przepłynęła; uznała się zwyciężoną.

Widzimy z tego przykładu, jak niepospolitą cierpliwością odznacza się Auab; posiada on oprócz tego wiele innych cennych przymiotów. Przedewszystkiem dla podwładnych jest panem sprawiedliwym, a nawet wspaniałomyślnym, co w Afryce nie często się zdarza. To też trzeba widzieć, jak go kochają i poważają; nie wahanoby się z pewnością, gdyby przyszło wybierać pomiędzy nim i samym sułtanem.

Część kraju, w którym zazwyczaj koczują Tademeketowie, obfituje w zwierzynę wszelkiego rodzaju, nie wyłączając największych i najdrapieżniejszych zwierząt, jakoto: lwy, pantery, hyeny, słonie, dziki, muflony, antylopy, gazele, strusie, żyrafy. Przebywa tam także mnóstwo drobniejszych stworzeń, zajęcy, królików, kuropatw i innego ptactwa. Istny to raj myśliwców.

Auab namiętnie lubi łowy i ma najpyszniejsze myśliwskie przybory, charty, ogary i oswojone gepardy, a także sokoły, rarogi i kruki tresowane do łowów. Utrzymuje licznych łowczych i sokolników.

Ten wódz Tuaregów żyje sobie wśród pustyni prawdziwie po magnacku, przypomina zupełnie możnych baronów, feudalnych panów średniowiecznych. Namiot jego skórzany urządzony jest nakształt pałacu i licznym dworem otoczony. Nie brak tam giermków, paziów, trubadurów, jest muzyka wojskowa, złożona z bębnów, klarnetów i wszelkich innych narzędzi muzycznych, w Afryce znanych.

Gdyśmy po raz pierwszy złożyli odwiedziny szlachetnemu wodzowi w jego namiocie, powitał nas huczną fanfarą swéj orkiestry. Na nieszczęście muzykanci afrykańscy drażnią nieznośnie uszy europejskie powtarzaniem jednostajnych, a niezbyt miłych melodyj. Klarynet przebija powietrze żałosnemi tonami, przy których serce się kraje, bęben wtoruje hukiem szalonym, mniejsze bębenki przerywają mu szybkiemi uderzeniami, a rytm ich najmniejszego związku nie ma z innemi instrumentami i powstaje ztąd zamęt straszliwy dla nerwów ludzi cywilizowanych.

(d. c. n.)

PROZA I POEZYA.

W tym przestworze sinym, który otacza mnie kołem swojem, co ja kocham? morze niw zielonych... lasy... pola, które zrosił znój oracza wiosną... Boże! ja to kocham wszystko — wszystko. Zorze poranków i cienie nocy, na ugorze szarym kwiatki białe, co jak wieśniacza dziatwa się wdzięczą... tak kocham to, że wszystko do łona garnąćbym chciała, wziąwszy w ramiona.

* * *

Jak oblicze matki, co śmieje się do swojego dziecka, tak kocham to, i jak sny tajemnicze me własne, jak nadzieje moje i tęsknoty, w koło siebie rozrzucone czuję, gdzieś na niebie i ziemi, w powietrzu...

* * *

O! przyrodo ty moja ojczysta, jakaż moc czaru mnie z tobą wiąże? czym wodą go wypiła z twych zdrojów, czym z żaru twego słońca w krew wzięła? Lecz jest przemożna potęga jakaś, co biorąc mi serce, sprzęga z tobą.

* * *

Z téj prozy ułożyć trzy strofy wierszem rymowym, pierwsza o dziesięciu wierszach, dwie następne o sześciu.

Łamigłówka zgłoskowa (Palermitanka).

Z następujących zgłosek: ar—a—cha—ci—cław—cy—e—e—i—ko—kra—la—li—ma—ma—mos—rek—rus—ryasz—rie—sa—wa—wiak—za—zra — ułoży wyrazy: 1. Imię męzkie. 2. Rzeka w Szwajcaryi. 3. Zwierzę górskie amerykańskie. 4. Starożytny król perski. 5. Imię biblijne. 6. Jezioro w Ameryce. 7. Imię męzkie. 8. Wyspa z Archipelagu. 9. Taniec ludowy polski. 10. Lud starożytny, przez Boga wybrany. Początkowe litery, odczytane z góry na dół, utworzą nazwisko poety polskiego, końcowe powieściopisarza, obaj żyli w XIX wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go

Zadania konikowego:

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na Świątki, na zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy.
(„Tatry" Wincenty Pol).

Łamigłówki głoskowéj:

Sum — Palma — Akr — Rano — Tak — Abo.
Sparta — Maroko.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Z odgłosów wiejskich, wiersz p. Gabryelę Jasieńską. — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska (c. d.) — Pracownia pana Adama, pogadanka naukowa p. M. J. Z. — Jaskinia Mamutowa (z drzew.) — Sławni w piśmiennictwie p. Z. Morawską. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowéj (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Popędliwy Antoś p. Ciocię Janię (z drzew.) — Do fiołka, wiersz p. Z. M. — Wszędzie dobrze, a w domu najlepiéj. — Lalka, opowiedziała Anna Z. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Іюня 1888 г. Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11